NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 35. DETROIT, MICH., 1-go MAJA 1892 ROKU. ROK I

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.		
1 Maja.	N.	Filipa i Jakóba Ap
2 ,,	P.	Atanazego.
3 ,,	W	Zna. Ś. Krzyża.
4 ,,	Ś.	Floryana Męcz.
5 ,,	C.	Moniki Wdowy.
6 ,,	P.	Jana w Oleju.
7 ,,	S.	Domiceli Panny.

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Stanach Zjedn.	Rocznie	Półr.	Kwart.
	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.

MATKI! OJCOWIE!

MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!!

OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę” i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of „NIEDZIELA”
Polish Seminary.
DETROIT, MICH.

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „Niedzielę” podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich.,	Pan	Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „	„	Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „	„	J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „	„	Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
„ „	„	Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
„ „	„	Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis.,	„	M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich.	„	Ignacy Poplewski.
„ „ „	„	Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill.	„	Piotr Maday.
Elmira, N. Y.	„	M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill.	„	Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio,	„	J. Małkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind.,	„	Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich.,	„	Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md.,	„	I. K. Zanto, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y.,	„	A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „	„	Antoni Chajewski, 39 Townsend St.
Williamsbridge, N.Y.	„	Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn.	„	Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich.	„	Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „	„	W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.
Brooklyn N. Y.	„	Fr. Kuliberda 400 Carlton St.
Cleveland, Ohio.	„	F. C. Kopciński 17 Dodge St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zglosić się do Redakcyi listownie.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codzienn w y j ą w s z y niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.00—10.55. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łaczą się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po pol., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.22 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociagi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.05 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

W. M. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.

GEO. DeHAVEN, Gen. Pass. Agent w Grand Rapids.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 35. DETROIT, MICH., 1-go MAJA 1892 ROKU. ROK 1

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



NABOŻEŃSTWO MAJOWE.

Nabożeństwo Majowe.

A cóż milszego na tym nędznym świecie
Jak Matka Boska i Najświętsze Dziecię
Jak te Ołtarze — te światła i pienia,
Które Jej w hołdzie niosą pokolenia,
Bo gdzie Jej obraz tam świece i kwiaty
Dają w ofierze z pałacu i chaty,
W każdym kościołku Marya uczczona,
Każdy Ją naród zwie, ,,Błogosławiona".

Bóg Cię wywyższył —wejrzał na pokorę,
Pomnij Maryo na nędzne i chore!
Oddal zarazy — bo to lud twój ginie,
On w Tobie ufność położył jedynie,
Ty nas ocalisz Twej opieki cudem,
Wspomóż w niemocy,—zlituj się nad ludem;
Pokaż się Matką! i módl się za nami,
,,Łaknących łaski, napełnij dobrami!"

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

O łagodności w wychowaniu dzieci.

Niektórzy rodzice obchodzą się tak surowo i grubijańskim sposobem z dziećmi swemi, że im nigdy dobrego nie dadzą słowa, że za najmniejsze przewinienie zaraz biją dzieci swoje albo—co jest pod ręką, na nich rzucają. Postępowanie takie tak samo jest nieodpowiednie jak to, jeżeli rodzice w zbytecznej miłości wszystko dzieciom pobłażając, starannie unikają kary. Przez zbyt surowe postępowanie tracą dzieci wszelką miłość ku rodzicom swoim, bo w nich widzą tylko bicz srogi, co nieustannie na nich spoczywa i tęskno wyglądają chwili, w której z domu rodzicielskiego wydobyć się będą mogły. Tacy rodzice wypierają się swej własnej natury, a podczas gdy dzikie zwierzęta liżą swe młode, oni daleko więcej od tamtych stają się niższymi.

Rodzice! jeżeli chcecie, aby dzieci wasze nie stały się dla innych upadkiem, ale powstaniem i zbawieniem, toście w wychowaniu ich surowość potrzebną z łagodnością stósowną łączyć powinni, a to dla tego, aby dzieci obok bojaźni czuły także i miłość ku rodzicom swoim. Bardzo stósownie mówi w tym względzie Grzegórz Wielki: ,,Łagodność i surowość należycie połączyć trzeba, aby dzieci przez zbyt wielką surowość nie zostały rozjątrzone, albo też przez zbyt wielką łagodność nie stały się lekkomyślnemi. Dla tego znajdowała się w arce przymierza manna razem z rózgą." Grzegórz ś. sądzi bowiem, że dzieci, będąc mieszkaniem Boga, więcej znaczą, niż arka przymierza starego zakonu. W niej zaś znajdowały się tablice kamienne, na których spisane były 10 przykazań boskich, manna i kwitnąca rózczka Aarona. Jeżeli więc dzieci mają być godnym Boga przybytkiem, to w sercach ich to samo, co i w arce przymierza złożyć należy: tablice prawa Bożego, t. j. bojaźń Boga i zachowanie św. przykazań jego, potem manna, t. j. rozumna rodzicielska miłość, która w staraniu o los dzieci niczego nie szczędzi, a nareszcie złożyć należy w ich młodych sercach rózczkę kwitnącą, t. j. rozumną i korzystną surowość.

Jedno więc i drugie: roztropna surowość i rozumna miłość dopomagać sobie powinny w wychowaniu. Aby w was tem silniej zaszczepić to prawidło, zwracam uwagę waszą na szczególne w tej mierze zwierzę ciepłych krajów: na słonia. Po długiej podróży, gdy już siły jego są osłabione, staje on śród drogi i choćby najbardziej obkładano go kijem, nie ruszy się dalej z miejsca; dopiero wtenczas idzie znowu dalej, jeżeli się mu coś zagwizda albo zaśpiewa. Tak samo ma się rzecz z dziećmi: niektóre dzieci tak są z natury usposobione, że surowością do niczego ich nie nakłonisz, dobrocią zaś wszystko z nich zrobić można; surowe i ostre obchodzenie się z niemi, uczyniłoby ich jeszcze więcej upartemi i przewrotnemi. I do takich to rodziców, co tylko rózgą wychowywać chcą dzieci swoje, odzywa się Anzelm ś. w następujących słowach:

,,Czy tylko biciem samem chcecie dzieci wasze życia dobrego wyuczyć? Czyście już widzieli takiego złotnika, któryby samym tylko młotem zrobił był ze złota albo srebra piękną figurę? Ja o tem wątpię."

Surowość tedy z łagodnością powinna krok w krok postępować w wychowaniu, jeżeli dzieci wasze na dobrych synów kościoła św. i na uczciwych kraju obywateli wychować chcecie. Bóg sam tak urządził naturę człowieka, że ani jednego ani drugiego brakować nie może. Matka najwięcej ma z dziećmi do czynienia, przy jej kolanach wzrastają, z jej ust uczą się pacierza, do niej też najwięcej mają przywiązania; dla tego też matki więcej przez łagodność i czułą miłość zwykły działać na dzieci swoje. Pieszczotami starają się zwykle matki nakłonić dziatki do posłuszeństwa i do pacierza, dla tego też w pierwszem słowie, które dziecko wymówić zdoła, odzywa się do matki, a czułej matce nigdy nie jest trudno na każde zawołanie spieszyć do kolebki niemowlęcia. Jeżeli matka wyruszy gdzieś z domu, już zaraz dzieciom czegoś niedostaje. Bez ojca prędzej obejść się mogą, bo do niego nie są tak bardzo przyzwyczajone. Lecz jeżeli czułość macierzyńska zamieni się w pieszczoty, jeżeli cierpliwość potrzebna stanie się ślepem pobłażaniem: natenczas potrzebną jest powaga ojcowska, jedno sło-

wo ojca skutkuje więcej, niż całogodzinne przedstawienia i napominania matki, jedno surowe ojca spojrzenie pomoże więcej, niż długie nauki matki, a rózga w ręku ojca więcej znaczy, niż kilkakrotnie powtarzane uderzenia macierzyńską ręką.

Tak jest—nieskończenie mądrze obmyślił P. Bóg wychowanie dzieci w rodzicielskim domu. Często zepsute musialoby być dziec o pieszczotami matki, gdyby surowa powaga ojca nie wykorzeniła zawczasu pieszczotami i pobłażaniem zasianych sprosności. Małpy tak długo z wielkiej miłości ściskają swe młode, aż je nareszcie uduszą, tak samo udusiłaby na duszy nie jedna matka swe dziecko, gdyby potrzebna surowość ojca, niezapobiegła temu zawczasu. Ale gdy rzecz tę z drugiej strony zważymy, natenczas przyznać musimy, że zbyt wielka surowość niejednego ojca, uczyniłaby dziecko krnąbrnem i wykrętnem, gdyby czułość i łagodność macierzyńska nie pozyskała na nowo dzieci, gdyby czułość macierzyńska nie łagodziła nieumiarkowanej ojca surowości. Jak więc ojciec i matka wspólnie pracować powinni nad wychowaniem dzieci, tak samo surowość i łagodność postępować powinny nierozłącznie. Ani jedna ani druga nie powinna działać wyłącznie; wychowanie dzieci nie powinno się nigdy przez czas dłuższy na samego ojca albo na samą matkę ograniczać, bo wspólnie powinni działać obydwoje w tej mierze.— Zaprzeczyć jednak nie można, że łagodność i dobre obchodzenie zawsze powinno mieć pierwszeństwo. Za tem przemawia ś. Ambroży. Wyjaśniając miejsce pisma św., które wspomina o karze, jaką czterdziestu chłopców za urąganie się z proroka Elizeusza odebrali. Drapieżnych niedźwiedzi paszczą rozdarte zostały ich ciała, a ś. Ambroży zapytawszy się: dla czego właśnie niedźwiedzi a nie innych zwierząt, tak odpowiada: Bo trzeba wiedzieć, że niedźwiedzica wydaje na świat swe młode jako kawał mięsa, które żadnego nie ma kształtu i tak długo je liże językiem, aż tym sposobem niedźwiedziom podobnem uczyni je zwierzęciem. I te to niedźwiedzie, co językiem okazują tak wielką miłość ku młodym swoim, niedźwiedzie powinny karcić te dzieci, które językiem swoim tak bezbożnie zaniedbują obowiązki dziecinne, ale nie tu jeszcze koniec: niedźwiedzie powinnyby także pokazać rodzicom, że nie nogami, rękami, albo paznokciami, ale językiem, t. j. łagodnemi słowami dzieci swoje na drogę prawą naprowadzać i z nich ludzi prawych i uczciwych czynić powinni. A chociażby czasem nagana albo surowe napomnienie potrzebnem się okazało: zawsze łagodność towarzyszyć mu powinna.

Księgi pisma ś. i Ojcowie kościoła naszego, więcej przemawiają za surowością, niż za łagodnem postępowaniem. I dla czegóż to? Oto, nie z innej przyczyny jak tylko dla tego, że rodzice zwykle są więcej pobłażającymi, niż surowymi dla swych dzieci, a powtóre dla tego, że jak doświadczenie uczy, nigdy tyle nie była szkodliwą surowość, jak zbyt wielka łagodność i ślepe pobłażanie. — Śmiało tedy twierdzić można, że najwięcej dzieci dla tego stają się upadkiem sobie, rodzicom i innym, ponieważ zanadto przeważała łagodność w ich wychowaniu.

Starajcież się więc Rodzice, aby dzieci wasze dobre odebrały wychowanie! ojciec i matka powinni wspólnie działać przez należytą łagodność i potrzebną surowość, aby dzieci ich nie stały się upadkiem dla innych, ale raczej powstaniem i zbawieniem. Ojcowie! wam to zaleca się szczególnie większa w karności dzieci gorliwość! Często skarżą się matki, że na nich dzieci nic nie zważają—że im ojciec nic nie powie, że wyszedłszy na robotę albo gdzieindziej z domu, już wcale nie troszczy się o dzieci. A ojciec wymawia się mówiąc: Ja nie mam czasu trudnić się dziećmi, tyś matka, do ciebie wychowanie dzieci należy! Ja mam dosyć o innych rzeczach do myślenia. Takie i tym podobne mowy, nigdy i nigdzie nie będą usprawiedliwione. Ty jesteś ojcem, a więc wychowanie dzieci zarówno należy do ciebie, jak i do matki; ojciec i matka, surowość i łagodność, niezłącznie należą do wychowania dzieci. Nie będziesz w stanie usprawiedliwić się przed Panem Bogiem, gdybyś całe wychowanie dzieci złożyć chciał na barki macierzyńskie. A cóżbyś na to powiedział, gdyby żona twoja takiej użyła wymówki: Mężu! tyś się sam powinien starać o całe utrzymanie domu, to do mnie nie należy, bo ja się zajmuję dziećmi. Jakżebys, słysząc takie wymówki, powstał na żonę? Starajże się więc jako gospodarz o utrzymanie domu, o gospodarstwo, a jako ojciec, staraj się równo z matką o wychowanie dzieci.

Rodzice chrześciańscy! nie zapominajcież nigdy, że surowość sprawiedliwa, połączona z potrzebną łagodnością, prawdziwe stanowi wychowanie: tak bowiem mówi Bóg przez usta Duchem św. natchnionego pisarza.

,,Ćwicz syna twego, nie rozpaczaj, a ku zabiciu jego nie przykładaj duszy twojej. Kto niecierpliwy jest— w szkodę popadnie.''

Kończąc, nie mogę milczeniem pominąć tego i nie powtórzyć wam jeszcze raz, że w wychowaniu dzieci wszelkie niewczesne pobłażanie, wszelka przesadna łagodność, wszelkie pieszczoty, dalekie od was być powinny. Jeżeli tak dzieci wasze wychowywać będziecie, natenczas możecie sobie sami przepowiedzieć, co z dzieci waszych będzie, czy upadkiem albo powstaniem, zgorszeniem albo zbawienim będą dla siebie i dla innych. Rzadkie są wypadki, żeby dobrze wychowane dzieci stały się później występnemi, a jeżeli się tak stanie, natenczas nie spadnie na rodziców. ale się spełnią słowa Augustyna św. który mówi:

,,Może zły syn nie zważał na napomnienia, albo na nagany, albo i na surowość ojca? Wypełnij ty tylko twój obowiązek, a on będzie już musiał za swój odpowiedzieć przed Bogiem.''

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

przez Kryst.

(Ciąg dalszy.)

W Warnie siedliśmy na okręt i wypłynęli na Morze Czarne. Podróż morska zawsze mi była wstrętna, przechorowałem też prawie cały przeciąg czasu. Zaledwo wyszedłem na pokład, aby zobaczyć Bosfor, przez który przepływaliśmy, i Konstantynopol, rozłożony na brzegach. Smukłe minarety, jak duchów postacie, unoszą się nad tem miastem wschodniem, od widoku którego oczów oderwać, ani go zapomnąć nigdy nie można.

Nie zatrzymawszy się na Bosforze wypłynęliśmy wprost na morze Marmora i dobiliśmy do portu Gemlek, a wysiadłszy na brzeg, znaleźliśmy się już w pełnej Azyi. Gdzie i jak długo nam przebywać wypadnie, nikt z nas nie wiedział.

Droga nasza z Gemleku do Kutahii odbywała się już konno w otoczeniu karawany z mułów i wielbłądów dźwigających nasze przybory. Podróż, lubo malownicza, bardzo dla nas była uciążliwą, pożywienie trudne—wycieńczeni byliśmy pod każdym względem. I już tylko pragnęliśmy stanąć na miejscu przeznaczonem, aby spocząć można i jakoś się opatrzyć. Zmęczenie nasze ożywiało się jednak jak zobaczyliśmy Brussę, w której przyszło nam odpocząć. Brussa, jedno z najdawniejszych miast azyatyckich, była przez długie lata stolicą Turków najezdników i późniejszych zdobywców Cesarstwa Bizantyńskiego. Zdobycie zaś Konstantynopola tem łatwiej udać się już mogło w obec gnusności ostatnich Paleologów. Stare to miasto, pełne zabytków arabskich i świętych pamiątek Mahometanów. W Brussie są także kąpiele gorących wód mineralnych, znane od najdawniejszych czasów i licznie przez Azyarów uczęszczane.

Zmęczeni i słabi ledwie dowlekliśmy się do Kutahii. Tam nas umieszczono w wielkich koszarach, starszych zaś rangą po domach prywatnych. Zaczęło się jakieś życie systematyczne, bośmy dłuższy czas pozostać spodziewali się tutaj. Zdolniejsi oficerowie rozpoczęli wykłady różnych przedmiotów, tak wojskowych, jak też i innych nauk.

Był już rygor wojskowy. Ale życie smutnie się wlekło, kraj nie wesoły, usposobienie przykre dla niektórych, co pozostawili za sobą rodzinę, bardzo nawet tęskne. Paniom przykrzyło się tam niezmiernie. Generał Dembiński, rycerski człowiek na wojnie, miły i salonowy w obejściu, umyślił zrobić paniom niespodziankę. Kazał na wyniosłej górze zrównać ziemię i salę balową urządzić. Sprowadził z dalekich stron z wielkim kosztem i mozołem, bo to na mułach przewozić trzeba było, co dla wydania wielkiego balu było koniecznem.

Bal udał się świetnie. Lampami kolorowemi oświecony, czarodziejski sprawiał widok. Dembiński z wytworną polską gościnnością robił honory, cachwycając całe towarzystwo swoją osobą. Było to jedyne zdarzenie wesołe podczas całego naszego tam pobytu.

Dla mnie jedynie najmilszą była chwila, kiedy który ze starszych zawezwał mnie do towarzyszenia mu na przejażdżkę konną. Wtenczas pogadanka bywała poufniejszą i swobodną, a przeto najmilszą, bo serce ciągnęło do Generała Dembińskiego, przez drogą mi pamięć ojca mego, który równie może z nim odbywał podobne przejażdżki.

W Kutahii przepędziliśmy cały rok. Tymczasem uspokoiło się w Europie. Wszystko weszło w zwyczajne karby. Co kto zdobył w tych czasach pełnych zapału i wzniosłych nadziei, to było jego zasługą, bo zdobył siłą ducha i woli. Kto zaś zmarnował wtenczas dane mu środki i możność wywalczenia czegoś dobrego dla kraju, to historya kiedyś wypowie, sądząc owe czasy.

Gdy już było postanowionem, że nas mieli odwieść do Anglii, a zerwała się ostatnia nitka nadziei działań naszych, stanęło wtedy straszne widmo emigracyi, nędzy i tułactwa. Opanowała mnie wielka rozpacz. Tyle zmarnowanych sił bez żadnego pożytku dla Ojczyzny, tylu wyrwanych ludzi ze społeczeństwa naszego na zmitrężenie i zatracenie moralne. A schodząc coraz głębiej w duszę moją, ujrzałem ukochaną Ilonę tak bladą i wiotką, jakby mnie już opuścić miała.

A ja na to żadnej rady nie miałem zszedłszy na tułacza! Nie mogąc jednak brać na własne sumienie jej przyszłości, chciałem się komuś zwierzyć, rady, pomocy moralnej zażądać.

Ułożyłem sobie pójść do Generała Dembińskiego. Jakoż nie tracąc czasu poszedłem do niego i odrazu po żołniersku zacząłem rzecz moją.

— Pan Generał był zawsze łaskaw na mnie; przychodzę z całem zaufaniem do niego po radę w bardzo trudnem położeniu.

— I dam ci ją z serca, bądź pewny. O cóż chodzi? Powiedz krótko a węzłowato — odrzekł stary Generał.

Słuchał pilnie i uważnie opowiadania mego. A gdym skończył, zapytał:

— Czy masz majątek?

— Było parę wiosek, straciły się nieszczęściami rodzinnemi, resztę przez te kilka lat przeszło—nic nie mam.

— Czy mógłbyś w tym wytartym mundurze, z laską w ręku, tułaczem iść upominać się o rękę posażnej panny, nie narażając się na wielkie nieprzyjemności od jej rodziny, nawet może więcej, bo na szyderstwo ludzi.

— Naraziłbym się na wszystko w obawie o Ilony życie.

— A czy możesz być pewnym, jakby ona cię przyjęła? Wymarzyła może w tobie i ukochała bohatera, który miał jej kraj oswobodzić, — zniknąćby zaś mógł cały urok, gdy cię zobaczy w obecnym stanie.

— Tegobym się nie lękał, znam Ilonę, ona uko-

chała mię takim, jakim jestem. Ale moja ambicya męzka nie pozwala stanąć w jej domu, jakby z kijem żebraczym, narzucając się jej bez żadnego stanowiska, sprowadzając na nią przykrości pod każdym względem, jakichby doznać musiała. Lecz strach mię ogarnia, aby ona tego za drogo nie przypłaciła.

— Ja ci powiem, jeżeli to jest prawdziwie szlachetnych uczuć rodzina, a Ilona wierną będzie dla ciebie, to postawi z taką godnością uczucie swoje, że sama rodzina zbliży się do ciebie i weźmie cię takim, jakim jesteś. Lub staraj się zdobyć choć skromne, ale niezależne stanowisko i zgłoś się wtenczas dopiero o rękę Ilony. Masz dwie drogi możliwe przed sobą. Ostatnia ciężka i długa, bo w emigracyi trudno zdobyć dla siebie kawałek chleba powszedniego, a dopiero byt odpowiedni. Jednak, tę tylko drogę masz otwartą. Staraj się przeto pracować i wywalczyć stanowisko. Czy miałeś z tym domem jakie styczności od wyjazdu.

— Żadnych. Gdyby choć napisać, mieć odpowiedź, byłbym spokojniejszym. Ale nikt mnie o tem nie mówił. Żegnali bardzo serdecznie, ale bez słowa zachęty. Gdyby matka była o wszystkiem wiedziała, lub gdybym się był zetknął z jej bratem, ale to nic! Z jakiego więc tytułu i do kogo miałbym pisać, kiedy mnie o to nikt nie prosił?

— To rzeczywiście źle, bo po tem co mówisz, to ja się lękam o Ilonę. A jednak inaczej honorowy człowiek postąpić nie może.

— Ja to czuję, Generale, i zatrute mam życie niepokojem. Całą też siłą niebo i ziemię poruszę, aby zdobyć możność otrzymania ręki Ilony.

— Bóg z tobą, młody kolego! Wytrwaj, przebijając się przez świat, może i zdobędziesz!

Dokończenie nastąpi.

O ZŁOTYCH TŁACH.

Miesiąc Maryi.

Królowej nieba miesiąc nas wita:
Cała przyroda ze snu zbudzona
Wonnemi kwiaty cudnie zakwita;
A pielgrzym ziemski z swojego łona
Najmilsze kwiatki swych uczuć tkliwych
Niesie Maryi, tej drogiej Pani
I gwiazdce morza, co nieszczęśliwych
Żeglarzy wiedzie do nieb przystani.
Czy drobne dziecię, co pierwsze słowa
Z ust matki słysząc, najmilej słucha:
,,Witaj Maryo Polski Królowa!"
Czyli młodzieniec, którego ducha
Świętość Maryi do cnoty budzi,
Czyli dziewica, co jak lilia
Kwitnie śród głogów, śród niecnych ludzi
I codzień z cnót swych wianki uwija
Dla niebios Pani — czy starzec siwy,
Co troską starty, duma głęboko
I jeno wtenczas—wtenczas szczęśliwy
Gdy ku Maryi zwróci swe oko
I błaga od Niej z śmiercią litości;
Czyli ktoś inny z tej ziemi gości,
Co doznał wiele łask Matki Pana;
Każdy dziś szczęsny i wesół cały,
I nim zaświeci zorza rumiano
Już nuci Pannie hymn serca chwały.
,,Witaj Maryo! najświętsza Pani,
Z duszą anielską, ciałem dziewiczem;
Żeglarz, co morskiej szuka przystani
W ogromie fali widzi się — niczem;
A czem ja jestem, gdy dusza moja,
Chce Cię uwielbiać w świętym zachwycie:
Ginę w nicości, bo wielkość Twoja,
Małej mej duszy przytłumia życie.
Nadobna Pani! O perło droga!
Dziewico czysta — niepokalana,
Ciebie to Jezus, Syn Pana Boga
Wybrał, Tyś perłą Jezusa Pana.
Kiedy dziś w maju na kwiatku błyska
Słońcem olśniona złocista rosa,
Jakiś się podziw do duszy wciska,
Bo w pięknej rosie widać niebiosa;
Tak dziś łza cicha źrenicę zrasza,
Gdy całe serce w Tobie zatonie,
W Tobie, przecudna perełko nasza,
Co lśnisz swem światłem w górnym Syonie.
Powiedz nam, cudna różyczko raju,
Czem Cię ma uczcić tułacz tej ziemi,
Splecie Ci wianki wedle zwyczaju,
Ludzi, co zwykli darzyć Cię niemi?
Lecz jakież wianki przyniesie Tobie,
Gdy nasze róże, gdy wszystkie razem
Kwiatki tej ziemi, choć piękne w sobie,
Są Twej piękności słabem obrazem?
Jaką koronę przyjmiesz dziś w dani,
Jakich kamyczków do niej dodamy,
Powiedz nam powiedz, nadobna Pani,
Wszystko jest Twoje, co tutaj mamy.
Jeźli Ci damy koronę z złota,
I w niej najdroższe błysną kamienie,
Próżna chęć nasza, próżna robota,
Złoto i klejnot, to ledwie cienie
Twojej światłości! Cóż Ci więc w maju,
Mamy dziateczki przynieść w ofierze,
Czem Cię uczcimy ozdobo raju
Ciebie, co zawsze kochasz tak szczerze.
Wiem, wiem o Matko! my Ci dziś w darze,
Idąc przed Twoje święte ołtarze,
Serce Jezusa w ofierze damy.



MAŁA SZWEDKA BAWIĄCA SIĘ Z GOŁĄBKAMI.



OGRÓD PRZY WATZLAR W NIEMCZECH.

Przyjmij to Serce Jezusa Pana,
Jak ono Ciebie kocha, królowa,
Tak Cię z tem sercem dziatwa dobrana,
Kochać bez końca zawsze gotowa.
Z sercem Jezusa świat Ci dziś składa
Uczucia tkliwe świętej miłości;
Miłośc — skarb jego, który posiada,
A ten skarb Tobie daje w całości.
Przyjmij tę miłość, Maryo święta,
Przyjmij łzy wdzięczne i racz nam dłonią
Swą błogosławić; racz swe oczęta
Zwrócić ku dziatwie, gdy po nad tonią
Fal mętnych życia ku Tobie płynie,
Daj jej o Matko, niech nie zaginie,
Daj niech nie żyje w ciągłej żałobie
Lejąc łzy smutku. Dzisiaj w kościele
Tyle nieszczęścia czas groźny sieje,
Kiedy bezprawia tak już jest wiele,
Że prawie nikną ludzkie nadzieje,
Kiedy on Sternik, z mądrości czczony,
Dziś w późne lata, o śnieżnym włosie,
Żyje w boleści i z każdej strony
Słyszy płacz, jęki w kapłanów głosie.
O Matko święta, racz nam niebiosa
Modły przebłagać; niech przez anioła,
Bóg ześle wieści, że wkrótce rosa
Spłynie pokoju i słońce chwały
Oświeci Kościół wielki — wspaniały!

Bogactwo nie uszczęśliwia.

(przez ks. M. S. z pod Melsztyna.)

— Czy to prawda?—pytał Galarda, mieszkaniec pewnej wsi w okolicy Jasła, nieznajomego pijanicy w karczmie—czy jest na świecie taki kraj, że dosyć poruszyć ziemię, aby znaleść złoto?

— No prawda, święta prawda; jest kraj, w którym tyle złota, co na naszem polu kamieni.

— Kiedy tak, to tam nie potrzeba pracować, dosyć się schylić, aby nazgarniać złota. Ale dla czegóż tam ludzie nie spieszą, skoro tak łatwo o szczęście?

— Ba! dlaczego! Dlatego, że do Kalifornii trochę dalej, niż na Węgry. Trzeba do niej jechać koleją, potem przez morze, a to przecie kosztuje, trzeba też kupić różnych narzędzi do wydobywania brył złocistych. Ja wielką mam ochotę tam pojechać, jeśli chcecie to pójdziemy razem. Co dobrze?

— Ja tam jeszcze nie wiem.

— Zapewne, że dobrze. Jedno wam tylko, mój przyjacielu, muszę wyjaśnić, a to: co macie kupić i od czego zacząć. Musicie też zapłacić za przewóz koleją i statkiem parowym na morzu, a stanąwszy na miejscu, dzielić się będziemy zarobkiem.

Zafrasowany Galarda skrobał się po głowie, nie wiedząc jak odpowiedzieć. Nieznajomy nalał kielich wódki—już ponoś dziesiąty—i tak dalej prawił:

— Sprzedaliście na dzisiejszym jarmarku krowę, co... prawda?

— Tak, sprzedałem, ale bardzo tanio. Żydziska z Rymanowa jak zaczęli cyganić wraz z Mikołajem, co zawsze jakoś krzywo na się patrzymy, takem sprzedał za 60 reńskich, a więcej była wartą, bo to swego chowu, zdrowa, spokojna jak dziecko i do mleka jedyna.

— Eh co tam żałować bydlęcia! Za złoto 10 krów będzie i to lepszych. Dajcie mi te 60 reńskich; będzie to początek na koszta naszej podróży.

— Tego to nie zrobię, mój panku. Coby mi też na to powiedziała żona, która czeka na pieniądze, aby spłacić dług za kupioną łąkę.

— Po co kupować łąkę w tej nędznej Galicyi? Co tu za pożytek z tej łąki? chyba siano i nic więcej, a podatki z niej wielkie, a ciężary jakie! W Kalifornii za morzem będą właśnie sprzedawali grunta; tam kupicie taki kawałek jak ten stół, a już będziecie na zawsze szczęśliwi i wy i wasza żona i dzieci.

— Gdybym wiedział, że to, co pan powiada, jest prawda, tobym się i odważył, boć to człek zawsze pragnął bogactwa, ale......

— Jak wam się podoba; od was zależy zostać odrazu panem, albo też klepać biedę do śmierci na zagrodzie.

— Mnie to odwagi nie brak — bełkotał podpity Galarda; ale moja kobieta co powie? Ona nie uwierzy, co mi tu pan przedstawia, bo to już te baby takie podejrzliwe.

— Moiście wy, jeśli tak, to z wami nie trafię do końca. Kto baby słucha, zawsze traci, bo to u niej włos długi a rozum krótki, ba żaden. Ale już czas, idźcie do domu; gdzie macie pas?

— Toć jest, ale dobrze napoczęty, bo oto kupiłem rydel i siekierę do czyszczenia kupionej łąki. Pan mówi, żem źle zrobił, żem nabył kawałek ziemi; może to i prawda, aleć powiadają, że ona karmicielką wszystkich rolników.

— O! piękna mi karmicielka; tyle się człek namozoli i cóż ma? ledwo żyje. Ale już pójdźmy, do domu spory kawał.

Galarda, zataczając się, dobył skórzanego woreczka z drobnemi, zapłacił za wódkę, a wziąwszy rydel i siekierę opuścił karczmę. Szedł też i nieznajomy, trzymając go za ramię pod pozorem niesienia mu pomocy, by nie wpadł do głębokiego rowu. Taczając się, szli wśród mnóstwa włościan, wracających z miasta i również dobrze podochoconych, co było widać z ich rozmów i krzyków. Galarda przecież nie wiedział co się około niego dzieje, on wciąż marzył o złocistym raju, widział głębokie doły, z których dobywano bryły błyszczącego złota. Na rozdrożu nieznajomy jeszcze raz upomniał Galardę, aby pamiętał o swej przyszłości i nie wahał się pójść do Kalifornii. Następnie zostawił Galardę, a sam poszedł w prawo.

Galarda spieszył teraz do wioski rodzinnej, co sił starczyło. Nogi mu się jakoś chwiały, w lewej ręce trzymał rydel i siekierę, prawą przyciskał czapkę do głowy; to wywijał brzozową laską, to stanął na chwilę, obejrzał się, posłuchał i dalej spieszył. Dla skrócenia drogi poszedł przez pole i krzaki. Niedługo stanął przy zarosłym ostrężyną pagórku. Zdawało mu się, że to kupa złota... poskoczył parę kroków i.... padł.

Naraz zdało mu się, że jest w jakiejś jaskini. Począł macać wokoło i znalazł beczkę z dukatami, nabrał ich pełne kieszenie a, wylazłszy z jaskini, przykrył ją chwastem i poszedł o północy do domu. Gdy zapukał we drzwi, żona otworzyła mu, mówiąc z oburzeniem:

— Teraz pijanico wracasz z jarmarku, a gdzie

brewicha? ile za nią wziąłeś? szkoda bydlęcia.

— Eh, głupiaś! Żal ci krowy! za jedną kupię tysiąc lepszych. To mówiąc dobył garść dukatów i posypał na ławie. Barbara zbladła.

— Co to jest? Skąd tyle złota? zrabowałeś kogo, czy co? Boże Najświętszy!

— At! gadasz. Byłem w Kalifornii, gdzie tyle złota, jak u nas kamieni, wziąłem więc, co mogłem, i oto masz!

— Ogłupiałeś, czy co? Wszak Kalifornia gdzieś daleko za morzem, kiedyżbyś z niej wrócił? Ależ to dukaty! Co to jest?

Galarda, nic nie rzekłszy, obejrzał wszystkie kąty swej chałupy, zawarł drzwi, wysypał złoto z kieszeni, wreszcie położył się spać. Długo nie mógł zasnąć; nareszcie począł drzemać i zdawało mu się, że był znowu w jaskini, rozbijał skrzynie, wybierał z nich pieniądze, to znowu lękał się, aby go kto nie pochwycił. Nazajutrz leżał chory; na pytania żony żadnej nie dawał odpowiedzi. Wyzdrowiawszy, nie wychodził z izby przez kilka dni i ciągle tylko marzył o skarbie, poglądał na przyniesione dukaty, był niespokojny i smutny. Sąsiędzi, nie widząc Galardy w polu, gdzie dawniej całe dnie spędzał, dziwowali się nagłej zmianie i mówili:

— Co mu się stało? od jarmarku całkiem się zmienił. Czy mu wróżka przepowiedziała śmierć bliską i gotuje się na nią? mówił jeden.

— Chyba wypił więcej niż zwykle —rzekł drugi.

— I to nie—dodał inny,—on snać rozmyśla, jakby się zbogacić.—Bądź co bądź—wtrącił ostatni— dosyć, że się bardzo zmienił, ani go poznać.

Jakież było zdziwienie wszystkich we wsi, kiedy po niejakimś czasie pewnego poranku dostrzeżono domek Galardów zamkniony, pusty! Rozmaite były domysły, pytania, rozmowy o tem przez kilka dni po wszystkich chałupach!......

Galarda wyjechał kryjomo na Węgry, a po roku wrócił w sandeckie i kupił w małem miasteczku piękny dom z ogrodem i całkiem inaczej żyć począł. Żona jego Barbara ubierała się w jedwabne suknie, nosiła wiedeńskie na korkach buciki i nowomodny kapelusz, trzymała kucharkę i pokojówkę do posługi, dla których była nieznośnie przykrą. Galarda wciąż był smutny i drażliwy; pobyt w mieście jakoś mu nie przypadł do smaku. Przy bramie domu trzymał dwa wielkie brytany, które się rzucały na każdego, kto się niebacznie do nich przybliżył. Raz pozwolił im poszarpać żebraka. Ubodzy, wedle jego zdania, byli to ludzie godni wzgardy: próżniacy i głupcy, co nie umieli gromadzić skarbów. Miał też Galarda i tę zasadę, że lepiej rzeczy jakiej pozwolić się zmarnować, niż ją dać ubogim.

Raz, zachorowawszy na niestrawność, przyzwał Galarda do siebie służącą, której więcej ufał niż żonie, i rzekł do niej:

— Idź do apteki i przynieś mi najmocniejszego lekarstwa; co wypadnie, zapłacę.

Służąca przyniosła z miasta mały pakiecik, w którym Galarda znalazł trochę białego proszku.

— Tylko tyle? zapytał.

— A tyle, ale i to aż trzy papierki kosztuje. Pytał mnie aptekarz, czy to dla konia? Odpowiedziałam mu, że tak, boć pan taki twardy jak nie przymierzając koń, a gdybym była powiedziała, że to dla pana, natenczas byłby dał jeszcze mniej i słabszego.

Przyniesiony proszek o mało co nie wtrącił chorego do grobu, pomimo że Galarda był silnie zbudowany i czerstwy. Pozbawiony ręcznej pracy i świeżego powietrza, siedział bezczynny w pokoju, przez co stał się ociężały, twarz mu nabrzękła, nogi napuchły, oczy zapadły.

Jakoś w tej porze wypadły wybory i Galarda wybrany został członkiem rady miejskiej. Myślał teraz, że jakiekolwiek zatrudnienie rozerwie go, zdrowie przywróci i zjedna mu względy między sąsiadami. Jakże się omylił! Zaraz na pierwszem posiedzeniu, proszono go, aby zapisywał uchwały i postanowienia. Galarda, nie umiejąc pisać, zarumienił się, nie chciał pisać, udając, że cierpi na ból głowy, że nie ma czasu, i złożył urząd. Koledzy wiedząc że i czytać nie umiał, śmieli się złośliwie, co tem więcej drażniło pana radcę. Wrócił on do domu rozgniewany, kłócił się z żoną i sługami, wygadywał na radnych, że są głupcy, osły, że nie wiedzą, gdzie i jak sadzić ziemniaki, jak się obchodzić z wołmi itp. „Pysznią się — mruczał, — że bazgrzą na papierze, ale ciekawym, jakby było, gdybym im kazał siać żyto." Żal mu było, że stan swój zmienił, ale nikomu o tem nie mówił.

„Dziwna rzecz—mawiał sam do siebie — myślałem, że zostawszy bogatym, będę szczęśliwym, tymczasem zawiodłem się. Dzień dla mnie taki długi i przykry. Gdy leżę w łóżku, boli mię głowa, jeść nie mogę; zdaje mi się, że kucharka chce mię otruć temi potrawami. Bodajto kapusta i kluski! Taki człek na nich był zdrów! Rozumie się, że śmiercią moją Barbara nie bardzo by się zmartwiła, gdyżby została dziedziczką mych skarbów. Ale próżna jej radość! tak schowam, że nic nie znajdzie."

(Dokończenie nastąpi.)

Dla czego Hawryło święconego nie ukradł?

W pewnem miejscu, w starym kraju, Małgorzata, żona starego Macieja, uchodziła w całej wsi za porządną gospodynię. Chociaż mieli tylko 10 morgów gruntu, to jednak wydała córkę na 20 morgów, a syna najstarszego ożeniła na rolę. Bydło się jej chowało; Maciej stary żadnych sporów nie miał, ani procesów nie prowadził, dlatego też w domu ich był spokój i dostatek.

Nadchodziły Święta Wielkanocne. Trzeba się było przysposobić na przyjęcie gości, córka bowiem najstarsza Maciejów miała w drugie święto do nich przybyć, a i Rózi, młodszej córki, bawiącej jeszcze w domu rodziców, zaraz po świętach ktoś pożądany miał zawitać. A tu jak gdyby się wszystko sprzysięgło na Maciejową... ciasto się ruszać nie chce, w piecu chlebowym więcej dymu niż ognia, a i sera z powodu, iż się krowy nie pocieliły, bardzo mało. Jakże się tu pokazać przed ludźmi? I tak się kobieta zafrasowała.

Wtem zjawia się gończarz z batogiem, około laski okręconym z prośbą, że z powodu żydowskich świąt nic nie można dostać zjeść, więc żeby mu Maciejowa za pieniędze odstąpiła kawałek chleba i sera. W czasie pieczywa gospodynie są zwykle drażliwe. Maciejowa więc odrzekła coś z gniewem, a Maciej stary, czytający z nabożeństwem gorzkie żale w alkierzu, na

przybycie podróżnego głowę wychylił. Jakoś mu się ten obcy człowiek nie podobał, bo często serce człowieka odgadnie pierwej nim rozum pojmie, kto jest dobry lub zły, a Maciej stary był nadto bywalec i znał się na ludziach. I tutaj także się nie pomylił, bo ten podróżny nie był to gończarz, tylko znany w okolicy złodziej, utrapienie ludzkie, Hawryło, który udając się za kogo innego, chciał przejrzeć tylko, gdzie jest jakie święcone i którędyby się można najlepiej zakraść. Małgorzata nadąsana przedtem, widząc teraz jakieś niezadowolenie na twarzy męża, chciała złagodzić podróżnemu niemiłe przyjęcie w swym domu, odrzekła więc prędko do Hawryły:

— Ja sera tak wiele nie mam, a i chleb jest trochę śniady i czerstwy, ale że to dziś wielka pamiątka, iż Pan Jezus dzisiaj za nas grzeszników ofiarować się raczył, to i ja z wami się podzielę tem co mam; macie tu czego żądacie, uraczcie się sami i spożywajcie z Bogiem, a o zapłacie nie wspominajcie, boć dzisiaj wszystkiem zwłaszcza z podróżnym dzielić się wypada.

Te słowa wymówione z serdecznością i prostotą więcej przemówiły do serca Hawryły, jakby to uczyniła groźba kary. To przyjęcie jego, to krzątanie się Małgorzaty otoczonej dziatwą, czekającą kiedy placki pójdą do pieca, aby im kto ich placków nie zamienił, to wszystko przypomniało mu, jak niegdyś u matusi swej jako chłopiec koło pieczywa się uwijał i paciorek za doczekane Alleluja odmawiał. Wspomnienie to wzięło górę nad jego brzydkim nałogiem, rozrzewniło go i sprawiło, iż nietylko do Małgorzaty, ale do nikogo już na kradzież święconego nie poszedł.

Kto wie, czy ten wypadek nie przyczynił się do porzucenia brzydkiego Hawryły nałogu — dosyć że w całej tamtejszej okolicy nikt odtąd nie słyszał, aby co komu zginęło.

Tak tedy parę serdecznych a pobożnych słów Maciejowej, a jeszcze bardziej wspomnienie ubiegłych niewinnych lat dzieciństwa, powstrzymało zbrodniarza od występku.

Jubileusz Alfonsa Ratisbonne.

W Rzymie, w kościele „S. Andrea delle Fratte" tłumy pobożnych święciły w tym roku 50 rocznicę wypadku, który w rocznikach chrześciańistwa na zawsze pamiętnym zostanie.

Wypadek ten, to cud niezwykłej miary i doniosłości, to objawienie się Niepokalanej Matki-Dziewicy, nawracające w jednej chwili najzaciętszego wroga katolicyzmu.

Alfons Karol Tobjasz Ratisbonne urodził się dnia 1 maja 1814 roku z rodziców żydowskich. W wieku niemal jeszcze niemowlęcym straciwszy ojca i matkę, przybrany został za syna przez wuja swego, bogatego bankiera, który zaręczył dorastającego Alfonsa z młodziutką kuzynką, imieniem Florą. Miłość głęboka a czysta uszlachetniła młodzieńca, strzegąc go od zepsucia i złych towarzystw.

Alfons, jak sam wyznaje, w swym pamiętniku, aż do 23 roku życia nie miał żadnej religii, nawet wiary w Boga. Z miłości jednak do swej narzeczonej skłaniał się do religii żydowskiej, chrześciaństwo zaś zwykł był uważać za pewien rodzaj bałwochwalstwa. Z dzieł chrześciańskich przeczytał on zaledwie dwie lub trzy książki, napisane przez własnego brata, nawróconego na katolicyzm. Czytanie to jednak nie zrobiło na nim żadnego wrażenia i prędko zatarło się w jego pamięci. Pozostał on tem, czem był, niedowiarkiem drwiącym sobie z objawień i cudów tak Starego jak Nowego Zakonu.

Słowem był on jednym z licznego dzisiaj zastępu młodszej generacyi liberalnych żydów, którzy każdą religię uważają za dobrą, byleby przeciwną była religii katolickiej.

Zbliżała się już chwila zaślubin Alfonsa z Florą, przed czem chciał on jeszcze odbyć podróż dalszą przez Neapol, Sycylję i Maltę na Wschód, Rozpoczął ją z postanowieniem pominięcia Rzymu, który jako stolica katolicyzmu wstrętnym był dla niego. W podróży tej, jak sam zeznaje, pijąc sławne „lacryma Christi" wypowiadał bluźnierstwa, których w pamiętniku swym nie śmiał nawet powtórzyć. Przez pomyłkę, nie wiedząc o tem i nie chcąc, znalazł się dnia 6 stycznia 1842 roku w nienawistnym Rzymie.

Zwiedzając kościół „Ara coeli" ze wstrętem odrzucił zaproszenie do wzięcia udziału w uroczystym obrzędzie chrztu dwóch żydów. Bywając w domu przyjaciela swego pana de Bussieres nie chcąc zdradzać swej nienawiści do katolicyzmu przyjął od jednego z gości medalik Matki Boskiej, który obiecał na swych piersiach nosić, zapewniając, że jest na tyle „esprit fort", iż mu taka drobnostka najmniejszej nie sprawi trudności.

Nadszedł dzień 20 stycznia, dzień nawrócenia Alfonsa Ratisbonna. O dniu tym tak pisał on później do jednego ze swych przyjaciół:

„Gdyby mi ktoś był powiedział, że w dniu tym obudzę się żydem a zasnę katolikiem, uważałbym go był za bezrozumnego szaleńca."

Bawił podówczas w Rzymie młody Francuz hr. Laferronays przyjaciel Teodora de Bussieres, który gorąco się modlił o nawrócenie Alfonsa; a nawet ofiarował Bogu swe życie w tym celu, wiedząc, że wielkie sprawy, wielkiemi tylko zdobywają się ofiarami-

W nocy z 19 na 20 stycznia Ratisbonne nie mógł zasnąć, bo mimo wszelkich wysiłków jakiś krzyż świetlany stał przed jego oczami. Nad ranem krzyż ten zniknął i Alfons obudziwszy się zapomniał o tem widzeniu. Po śniadaniu udał się do barona Bussieres, który go zawiózł do kościoła „S. Andrea delle Fratte". Tu trafił właśnie na smutny, lecz nadzwyczaj wystawny obrzęd pogrzebowy. Były to egzekwie za duszę co dopiero zmarłego hr. Laferrynays, którego ofiarę, jak się zdaje, Bóg przyjął po to, aby w zamian ziścić najgorętsze pragnienie zmarłego.

Baron Bussieres udał się do zakrystyi — Alfons pozostał w kościele. Nagle, jak sam o sobie zeznaje, odczuł dziwny zamęt w swem sercu, na oczy jego spadła jakaś zasłona, po za którą znikły osoby będące w kościele, ucichły organy, wszystko gdzieś się zapadło, całą świątynię napełnił mrok ciemny, tylko jedna kaplica jaśniała dla jego wzroku jakimś niezwykłym blaskiem, jakby światłością Taboru. Nie umiał sobie zdać sprawy, w jaki sposób znalazł się nagle w tej właśnie odosobnionej kaplicy. Tu dziwne, a niepojęte uderzyło go zjawisko, stanęła przed nim po nad ołtarzem jasna, promienna, cudowna, tchnąca miłosierdziem postać Niepokalanej Dziewicy, dziwnie podobna do postaci wyrytej na medalionie, który na swych piersiach nosił. „Na ten widok—pisze Alfons—mimowolnie upadłem na kolana i wpatrzony w wyciągnięte ku mnie dłonie Boga Rodzicy, widziałem w nich przebaczenie i łaskę. W tej chwili, lubo nie usłyszałem ani jednego słowa, zrozumiałem wszystko, stan mojej duszy, ohydę grzechu, całą piękność katolickiej wiary i łzy rzewne, obfite trysnęły z mych oczu, łzy wdzięczności ku Niepokalanej, łzy współczucia nad mą rodziną i wszystkimi, którzy prawd tych poznać i uznać nie chcieli"....

Baron Bussieres zastał Alfonsa w postaci klęczącej, zalanego łzami, nie mogącego nawet słowa wymówić. Dopiero w powozie uspokojony nieco, zaklinał barona, by zawiózł go czemprędzej do jakiego kapłana, od którego mógłby otrzymać chrzest św. Stawiony przed O. Villefort,a, jako wyraz całej swej prośby, wymówił tylko te słowa: „Widziałem Ją, widziałem Ją!" Gdy mu współwiercy jego zarzucali, że wypiera się wiary swych ojców, odpowiedział: „Nie wypieram się wiary Abrahama i Mojżesza, nie wypieram się proroctw Izajasza i Malachjasza, tylko wypieram się Judasza. Wierzę tym, którzy przepowiedzieli Mesyasza, lecz nie wierzę i nie idę za tym, który go zdradził."

Gdy kardynał-wikaryusz zwlekał z udzieleniem chrztu Alfonsowi, upomniał się tenże o przyspieszenie słowami najgorętszego pragnienia. „Jakto — mówił —kiedy żydzi w Jeruzalem, słysząc Apostołów, nawrócili się, wszak bezzwłocznie zostali ochrzczeni, a ja, którym widział Królowę Apostołów, mam dłużej czekać niż oni?" To też przyspieszono chrzest jego, który się odbył w kościele „al Gesu".

Kaplica Matki Boskiej u św. Andrzeja stała się odtąd miejscem tłumnych pielgrzymek spieszących z Włoch i zagranicy, by się pomodlić u stóp „Madonny Ratisbonne'a. On sam zaś przyjąwszy chrzest, zrzekł się świata, majątku, narzeczonej, rodziny i wstąpił do zakonu, gdzie spędziwszy lat 11, rozpoczął błogą apostolską działalność. W Jeruzalem założył klasztor i kościół koło dawnego pretoryum Piłata pod wezwaniem „Ecce Homo" i dwa domy sierot: jeden dla dziewcząt w blizkości miejsca, gdzie Najśw. Panna nawiedziła św. Elżbietę, zwany „S.Giovani in Montana", drugi dla chłopców na górze Oliwnej pod we-

zwaniem św. Piotra. Nadto założył Ratisbone kongregacyę „Dziewic Syońskich" w celu nawracania i ułatwiania przyjęcia chrztu żydówkom. Kongregacya Syonu uznana przez Grzegorza XVI, a potwierdzona przez Piusa IX rozkrzewiła się najszerzej w Ziemi św., a nadto we Francyi, Rzymie, Konstantynopolu, Jassach i Smyrnie. Londyn i Wiedeń, Tunis i Egipt, Rio Janeiro i Australia zakładały u siebie Syońskie domy Ratisbonne'a.

Raz jeszcze wśród swych podróży przybył Alfred w roku 1878 do Rzymu, gdzie odprawił Mszę św. przed ołtarzem u którego stóp niegdyś cudownie został nawrócony, a w lat 6 potem 1884 roku w pierwszy dzień miesiąca Maryi, umarł z Jej imieniem na ustach.

Samo tak nagłe, stanowcze i trwałe nawrócenie żyda bogatego, wykształconego i niewierzącego w nic, niczem, po ludzku rzeczy biorąc, wytłómaczyć się nie da: ani złudzeniem optycznem lub fantazyą, bo on śmiał się z takich rzeczy i umiał trzymać na wodzy wyobraźnię i zmysły, ani łatwowiernością jakąś i pietyzmem, bo sceptykiem był bez żadnej zgoła wiary, ani sympatyą do chrześciaństwa, bo właśnie tej jednej religii nie znał on niemal wcale i żywił przeciw niej tylko wstręt i nienawiść. Tak więc zastósować tu można argument Dantego w całej sile jego logiki:

Se il mondo si volse al cristianesmo
Diss'io, senza miracoli, quest' uno
E tal, che gli altri non son che il centesmo.
(Paradiso XXIV.)

Gdyby świat stał się chrześciańskim ludem,
Nie widząc cudów—to fakt ten sam jeden
Nad wszystkie cuda—większym byłby cudem.

WIEŚCI ZE ŚWIATA

„Opieka szkolna" w Poznaniu. Ogłoszone zostało pierwsze sprawozdanie „Opieki szkolnej" w Poznaniu, t. j. komitetu, który kieruje nauką prywatną języka polskiego w Wielkopolsce.

Z zadowoleniem należy zaznaczyć, że dziatwa chętnie garnie się do nauki języka ojczystego, bo na 2468 dzieci polskich i za polskie uznanych, tylko 103 na naukę nie uczęszczało. Z dzieci, przyłączonych do niemieckich oddziałów religii, które przeważnie także są polskie i tylko dla nazwiska swego za niemieckie uważane, także znaczny procent brał udział w nauce. Prócz tego uczy się także języka polskiego w każdej szkole po kilka lub kilkanaście dzieci pochodzenia niemieckiego.

W każdym tygodniu było lekcyi 99, za które „Opieka" płaciła 99 marek za tydzień. Koszta te zwiększą się jeszcze, ponieważ niektóre oddziały dla przepełnienia podzielone być muszą i ponieważ jak najrychlej trzeba będzie naukę języka polskiego urządzić także dla najmłodszych dzieci od roku 6 – 8, któremi dotąd dla braku środków „Opieka" zająć się nie mogła.

Przewidywane koszta ogólne na rok szkolny cały wynosiły w tymczasowym etacie 5000 marek, co się też z rzeczywistością zgadza; w przyszłości koszta będą większe.

Wydatki „Opieki szkolnej" mają być pokrywane przez dobrowolne składki. Zbieranie składek odbywa się w sposób następujący: Każdą parafie podzielono na kilbanaście, lub kilkadziesiąt okręgów, dla każdego zaś okręgu wybrano osobnego męża zaufania, który z umyślnie w tym celu drukowaną książką składkową chodzi od domu do domu, osoby zobowiązujące się do regularnych składek zapisuje i składki odbiera. Składki zebrane przez mężów zaufania odbierają skarbnicy parafialni, i oddają skarbnikowi głównemu, który za asygnacyą prezesa „Opieki" i wizą prezesa parafialnego miesięcznie wypłaca nauczycielom honorarya.

Stan kasowy przedstawia się jak następuje: Dochody 2883·15 mr.; Wydatki 2461·04 mr. — Pozostaje na rok przyszły 491·81 marek.

Z Mysłowic piszą, iż wszyscy robotnicy z Galicyi w liczbie 80, pracujący w tamtejszych kopalniach zostali przez rząd pruski dnia 5 b.m. wydaleni. W nocy przyszli urzędnicy policyi do ich mieszkań, kazali im ubrać się, poczem odprowadzili ich do granicy, zabraniając wracać na terytoryum pruskie.

Poznań 9 Kwietnia, Czterej ludzie napadli pod Kościelcem księdza prałata Ponińskiego, brata właściciela Koscielca, żądając pieniędzy. Otrzymawszy odpowiedź odmowną, strzelili kilka razy do księdza Ponińskiego i zranili go dosyć niebezpiecznie. Dziedzic Kościelca wysłał niezwłocznie w pogoń za zbrodniarzami dwudziestu jeźdźców. Trzech zbrodniarzy zastrzelono a jeden sam się zastrzelił, aby się nie dać ująć żywcem. Przy zbrodniarzach, którzy byli ubrani porządnie i mieli przy sobie czerwone szarfy, znaleziono formularze na kwity z podpisem: „Komitet anarchistyczny." W zabitych zbrodniarzach poznano niejakiego Pilawskiego i Urbaniaka z Inowrocławia. Siostra Urbaniaka służy we dworze Kościeleckim.

Petersburg 5 Kwietnia. W miasteczku Ochcie w fabryce prochu nastąpił wybuch 350 pudów pyroksyliny. Katastrofa nastąpiła w jednym z budynków oddziału bezdymnego prochu karabinowego w suszarni murowanej. Gmach wyleciał w powietrze wraz z fundamentami, tak, że z niego i z robotników nie zostało śladu. W odległości stu i więcej sążni znaleziono tylko bezkształtne części zwłok. Wstrząśnienie spowodowało uszkodzenia w niektórych sąsiednich budynkach fabrycznych, przyczem 5 robotników poniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Przyczyna wybuchu niewiadoma. Uderzenie było tak silne, że w odległości dwóch wiorst w niektórych domach popękały sufity i potłukły się szyby w oknach.

Projekt księcia Meszczerskiego. Kiedyś, po dziesiątkach lat, będą mieli historycy niezwykły a olbrzymi materyał do badań historjograficznych co do objawów zaciekłości rasowej u dzisiejszych moskali. Zaciekłość ta coraz zjadliwsza, coraz bardziej rozkiełznana, urąga już wprost godności człowieczej. Istotnie, trzeba się z niej wyzuć całkowicie, aby się zdobyć na projekt tak ohydny, jakim książę Meszczerski w swoim „Graždaninie" świeżo się popisał.

Ubolewa książę, iż w Królestwie Polskiem russyfikacya nie przenika do szpiku i kości młodzieży, bo szkoły, acz rosyjskie, kształcą, a nie wychowują. Wychowanie, ku wielkiemu umartwieniu księcia, zostaje pod wpływem rodziny i księdza, a dopokąd te dwa czynniki na młodzież polską działać będą, nie przejmie się ona poczuciem jedności rosyjskiej. Radzi więc „Graždanin," aby zakładano w Królestwie korpusy kadeckie, do których za staraniem czynników, gromadziłoby się jaknajwięcej dziatwy polskiej, gdzie od wpływów rodziny i „księdza" oddzielona, wychowałaby się w duchu jedności rosyjskiej. Za złe nawet poczytuje ks. Meszczerski rządowi, iż na nowo otworzył w Puławach instytut agronomiczny, zamiast tę „piękną" miejscowość na korpus kadecki przeznaczyć.

Oto projekty jednego z dzienników rosyjskich. Niktby nie uwierzył, aby na schyłku XIX-go wieku taki głos mógł się odezwać w prasie europejskiej, a do niej zaliczać się pragną dzienniki rosyjskie. Też same rosyjskie dzienniki prawią nam nieraz czułości, ubolewając nad tem, że rząd pruski i komisia koloniza-

cyjną wydzierają nam chleb; ubolewają nad tem, a nawolują rząd własny, aby nam wydarł człowieczeństwo.

Dziś, gdy misje chrześcijańskie nawrócone dzieci murzyńskie uczą w ojczystym tych dzieci języku, ks. Meszczerski pragnie dzieciom naszym odebrać język ich ojczysty tak, aby go do szczętu zapomniały.

Gdy nihilizm toczy z dołu carat, rozbija rodzinę, wyrzuca wiarę z piersi człowieka, ks. Meszczerski pragnie nihilizmu z góry, aby rząd czynił zagładę, wydzierał dzieci rodzinie, pozbawiał je wiary. Czy może radby książę ponowić czasy, gdy z porwanych w niewolę chrześcijańskich dzieci wychowywano w Turcyi Janczarów?

Rejestr faktów, świadczących o zaciekłości moskiewskiej snać nie prędko się zamknie, bo nie prędko jeszcze nastąpi chwila, w której na glebie moskiewskiej wyrośnie poczucie godności człowieczej.

P o w ó d ź w Hiszpanii wyrządziła z początkiem z.m. straszne szkody. W podobny sposób nawiedzona była klęską Hiszpania południowa tylko raz jeden, w r. 1806. W Sewilii, w samym środku miasta wiele ulic pod wodą, która sięga blisko połowy wysokości domów. Na przedmieściach, jak oko sięgnie, nie widać nic oprócz wody, z pod której sterczą tylko tu i owdzie dachy domów. W Camas i Santipouce mnóstwo gmachów uległo zburzeniu, inne uniósł prąd wody. Cmentarz w Sewilii całkiem spustoszony, a brudne żółtawe fale Gwadalkwiwiru unoszą zwłoki. W Villaverda 150 domów zabrala woda, a przeszlo 300 jest zburzonych; nędza panuje do nieopisania. Ludność zagrożonych wsi opuszcza je tłumnie. Ile mienia, ile ofiar ludzkich pochłonęła straszna katastrofa, dotąd niepodobna stwierdzić.

W y p a d e k p r z y ś l u b i e. W Salzburgu podczas mszy ślubnej panna młoda nagle zemdlała i padając zraniła sobie głowę o stopnie ołtarza. Zaniesiono nieprzytomną do zakrystyi, gdzie osłabienie tak się wzmogło, że wezwano księdza, by udzielił konającej, jak przypuszczano, ostatnich Sakramentów. Gdy jednak przy ocucaniu zdjęto młodej osobie gorset obcisły, wnet powróciła do sił i zdrowia.

R z y m. Ojciec św. mianował X. Meszczyńskiego, prywatnego sekretarza J. Em. Kardynała Ledóchowskiego, sekretarzem kongregacyi „de propaganda fide“.

R o s y a. W pośród Niemców kolonistów gubernii saratowskiej obudza się silny ruch emigracyjny. Sprzedają swoje posiadłości za bezcen i emigrują do Stanów Zjednoczonych.

NOWINY MIEJSKIE.

Towarzystwo Panien Serca Maryi przy Parafii Św. Józefata, odegra dnia 30 Kwietnia dwie dramatyczne sztuki (w 3 aktach) na korzyść Kościoła św. Józefata, w Polonia Sali, róg Hastings i Willis ulic. Początek o g. 7 i pół wieczorem.

KARTKI DLA NAUKI.

Wyprawianie skóry.

Skrójmy kawałek skórki, którą widzimy na słoninie i zostawmy ją na suchem powietrzu. Skrojona skórka wkrótce wyschnie, a przytem stanie się kruchą, skurczoną i twardą. Gdybyśmy podobny kawałek skórki zostawili w powietrzu wilgotnem, zobaczymy, że zacznie psuć się i gnić, chociaż nie tak prędko, jak kawałek mięsa. Widzimy zatem, że skóra mimo swej mocy, gdyby nie była we właściwy sposób wyprawiona, do niczego użyćby się nie dała. W suchem powietrzu byłaby twardą i kruchą, w mokrem gniłaby.

Wyprawianie czyli garbowanie skóry odbywa się we właściwych fabrykach, które zwą się garbarniami.

Ażeby skórę wyprawić, należy ją pierwej oczyścić z tłuszczu, włosów i całej powłoki zewnętrznej. Ze świeżej wszakże skóry nie tak łatwo dałoby się to wszystko zeskrobać. Dlatego wkładają naprzód skóry do dołów, posypując je przytem zwykłą solą lub wapnem. Pozostawione tak przez pewien czas skóry zaczynają się, jak mówią, p o c i ć, i wtedy z łatwością oskrobać je można.

Skóry oskrobane w różny sposób wyprawić się dają. Na podeszwy, obuwia, wyroby rymarskie itp., wyprawia się skórę w taki sposób: Naprzód zanurza się ją w wodzie bieżącej, gdzie leżeć musi dopóty, dopóki nie zmięknie. Następnie kładzie się na miesiąc lub dłużej do d ę b n i c y tj. wody, nalanej na zmieloną korę dębową. Po wyjęciu ugładają skórą jedną na drugiej w wielkich skrzyniach drewnianych, posypują każdą korą i nalewają dębnicą. Skrzynie takie zakopują potem w ziemię, gdzie zostawać muszą przez czas dłuższy, następnie dopiero wyjęte skóry suszą, wygładzają i wyrównują. Niektóre z jednej strony zabarwiają na czarno, inne znowu za pomocą odpowiednich przyrządów drewnianych otrzymują odciski, przez co na powierzchni swej stają się groszkowatymi.

Ponieważ skóra przez właściwe garbowanie za pomocą dębianki i kory bywa czerwonawa, stąd podobne wyprawianie skór zwą także czerwonoskórnictwem.

Na rękawiczki i tak zwaną irchę, skór nie moczy się w dębiance, lecz w wodzie zmieszanej z solą i ałunem. Ałun jest to rodzaj soli slodkawego a ściągającego smaku. Takie wyprawianie zowie się białoskórnictwem, gdyż skóry w ten sposób wyprawiane są białawe.

Skórę tak zwaną jelonkową albo zamsz, wyprawiają za pomocą tłuszczu. Napawa się ją naprzód olejem i następnie walkuje. Nadmiar tłuszczu wyciągają ługiem. Takie wyprawianie zwą zamsznictwem. Skóry zamszowe są nadzwyczaj miękkie; przesiąknięte wodą schną, nie twardniejąc. Stąd i prać je można. Wyrabiają też z nich żołnierskie rękawiczki i inne rzeczy, które często prać trzeba, aby zawsze były czyste.

Na zamsz najlepsze są skóry jelenie, sarnie, także kozie i owcze.

Rzemień na podeszwy, na wyroby rymarskie i tak zwany surowiec, wyrabia się ze skóry wołowej. Z krowiej i końskiej mamy rzemień dla siodlarzy i jucht na obuwie grubsze. Na cieńsze obuwie bierze się skórę cielęcą. Safian używany na poduszki, do wybijania krzeseł wyściełanych, do oprawy książek, wyrabia się ze skóry koziowej, pośledniejszy zaś z baraniej.

Baranią skórę i cielęcą wyprawiają też często na tak zwany papier skórzany czyli pergamin. Skóry na pergamin przeznaczone, po oczyszczeniu moczą się w wodzie, zawierającej wapno. stąd są tak tęgie. Pergaminu używa się na dyplomy i inne ważne pisma, które długie lata mają przetrwać bez zniszczenia. Wiele miast i kościołów w Polsce posiada takie pergaminowe pisma i dyplomy, które przed wiekami jeszcze wydali im królowie polscy.